

## Fragment opowiadania

Był poniedziałek. Okropny dzień dla gimnazjalistów klasy I a. I to nie tylko dlatego, że dzień ten jest tak bardzo nielubianym dniem w tygodniu, ale przede wszystkim dlatego, że na piątej lekcji ma być klasówka z matematyki. Poniedziałek i klasówka z matmy. Czy można sobie wyobrazić gorszy dzień?

Do końca roku szkolnego pozostał już tylko miesiąc. I choć to tylko miesiąc, to jednak cała klasa zgodnie uważała, że aż miesiąc! Miesiąc męczący i stanowczo za długi. Bo przecież, to czas straszliwie stresowych przepytywań, klasówek, sprawdzianów, i w ogóle wszystkiego najgorszego. Miesiąc, w którym wszyscy nauczyciele, jak na komendę, wyciskać będą nieszczęsnym uczniom wiedzę z zakamarków ich mózgowic na zewnątrz. A będą ją wyciskać bezlitośnie. Ba, będą ją wrywać, wyszarpywać, wyciągać, i to z korzeniami, uważając nieskromnie, że ją tam kiedyś zasiali, więc prawo takowe mają. Będą pozbawiać wycieńczonych długotrwałym rokiem szkolnym uczniów — resztek sił i cierpliwości. Wytrzymałość całej klasy w zdzierzeniu tej nerwowej sytuacji była już na wyczerpaniu. A tu jeszcze wszyscy nauczyciele zewsząd powtarzają, że to już tylko jeden króciutki miesiąc pozostał. Że potem, to już będą mieli totalną labę. Że powinni więc, jak jeden uczeń, być szczęśliwi i dać się spokojnie sklasyfikować... Cóż było robić? Oprócz narzekania, nic. Trzeba było ten czas jakoś przeżyć. Mimo wszystko.

Rozpoczęła się pierwsza lekcja. Lekcja chemii. Cała dwudziestoosobowa klasa I a siedziała nad wyraz spokojnie, wpatrując się jak cieleta w wymalowane wrota w pana od chemii. No, może nie wszyscy, bo niektórzy uczniowie nawet lubili ten przedmiot. Lekcja chemii miała przebiegać zupełnie bezstresowo. Klasa o tym wiedziała, gdyż, nauczyciel od chemii, pan Chełmiński, zwany przez klasę Chemionem, już wcześniej zapowiedział, że musi nadrobić zaległy materiał, który nawarstwił się z powodu jego długotrwałej choroby. Żadnych więc pytań, żadnych sprawdzianów. Klasa mogła zatem na luzie zaliczyć pierwszą lekcję. Bo potem, każda następna, a zwłaszcza piąta, to istny horror.

Pan Chełmiński po sprawdzeniu obecności z dziennika, przystąpił do lekcji. Nakazał klasie pełne skupienie, gdyż chciał omówić więcej materiału niż normalnie. Wiadomo, miał zaległości.

W klasie zaszumiało. Każdy szeptem wyrażał swoją opinię na temat pełnego skupienia, które w tym akurat momencie było u większości uczniów zupełnie niemożliwe. Z prostej przyczyny. Bo akurat teraz, jedni zajmowali się odpisywaniem zadania z gramatyki, potrzebnego na drugą lekcję. Inni nadrabiali swoje własne zaległości... w jedzeniu, i pałaszowali pod ławką śniadanie. Inni zaś zawzięcie wypisywali na przedramieniu przeróżne wzory matematyczne niezbędne na klasówkę. A jeszcze inni, myślami byli już na wakacjach i nic do nich nie docierało. Zwłaszcza Damian Kaczor, największy marzyciel klasowy, zwany przez klasę Kaczorem Dyzio, albo Dyziowatym.

— Ty, Dyziowaty, słyszałeś? Ten Chemion chyba z byka spadł. Chce nas wykończyć tym swoimi zaległościami — wyszeptał nagle Karol Suchocki prosto do ucha swojemu współławkowiczowi Damianowi, przerywając mu błędzenie wzrokiem po oknie.

— Z jakiego byka? To ty, Suchy, chyba z byka spadłeś. Przecież Chemion z motoru spadł — odezwał się Damian, z niechęcią odrywając wzrok od okna, bo marzył akurat o pływaniu żagłówką po jeziorach mazurskich.

— Och, przecież wiem. To tylko metafora, bo tak się zachowuje, jak gdyby z byka spadł — odparował Karol.

— Nie narzekaj. Przynajmniej mieliśmy kupę wolnych lekcji, bo przecież, jak pamiętasz, dyrze nie wszystkie lekcje chemii udało się obsadzić zastępstwem — słusznie zauważył Damian. — Niech sobie Chemion truje... chemicznie, a my róbmy swoje.

— No, chyba masz rację... Róbmy swoje — zgodził się Karol. — Ty Kaczorku Dyziowaty to czasem całkiem coś mądrego potrafisz wymyślić... tam na tych oknach. Ale powiedz mi jeszcze jedno. Jak myślisz, czy Chemion przy późniejszym trzepaniu nas z wiedzy chemicznej, weźmie to pod uwagę, że nadmiar materiału, jaki nam próbuje teraz wcisnąć, ni jak nie ma szans, aby nam się w naszych przemęczonych głowach utrwalił? Co, Dyziuniu kochany, jak myślisz?

— A nie, to pewne. Już my go zmusimy, aby to jak trzeba pokojarzył. Niech se nie myśli.

— Cicho tam, Dyziowaty i Suchy. Przeszkadzacie mi w koncentracji — wysyczał Marcin Kosa, odwracając się do tyłu i z niesmakiem wpatrując się w swoich gadających sąsiadów.

— To ty Koso bądź cicho — natychmiast odgryzł się Karol Suchocki. — Prymus musi uważać na lekcji, bo coś mu może umknąć uwadze i wtedy, co nie daj Bóg dla takiego prymusa jak ty, lufę zarobić może przy odpytywaniu.

— Zamknij się Suchy. Dobrze? — Marcin zrobił małą minę i odwrócił się z powrotem do przodu. Po krótkiej chwili odwrócił się jednak jeszcze raz do tyłu i dodał: — Jak wam nie wstyd natrzasać się z czyjegoś nieszczęścia i jeszcze do tego doszukiwać się w nim korzyści dla swoich zakutych pał.

— Ty przemądrzały prymusie, wypluj te zakute pały, i to już. Bo jak nie, to jak cię gwizdnę w tę twoją prymusowską pałę, to cię nawet chemia, która leczy, nie postawi na nogi — wkurzył się Karol nie na żarty.

— Rany, Suchy, uspokój się brachu, przecież żartowałem — stchórzył Marcin.

— No! To uważaj co mówisz i do kogo — buńczucznie odparował Karol, robiąc przy tym groźną minę. — I nie myśl sobie, że my mamy w miejscu serca pompę ssąco-tłoczącą. Przecież ten Chemiona wypadek to siła wyższa, na którą my nie mieliśmy żadnego wpływu. Co w tym więc złego, że teraz, jak już jest musztarda po obiedzie, chcemy z tej siły wyższej skorzystać? Moja mama

zawsze powtarza, że nic się nie dzieje bez powodu... Może więc Chemion też odniósł jakieś korzyści po tym swoim pikowaniu motorem. Może się nawrócił i zaczął chodzić do kościoła? Albo może zaczął bardziej cenić życie i lepiej dbać o siebie? Albo przynajmniej nie będzie już jeździł jak wariat?

— Co tam z tyłu się dzieje?! — głośno spytał pan Chełmiński, przerywając szeptane dywagacje Karola. — Suchocki i Kosa, jeżeli nie rozmawiacie na tematy chemii, to proszę się uspokoić wreszcie i skupić na lekcji. Bo potem nie będzie zmiłuj... kiedy będę sprawdzał waszą wiedzę. No, tak że wiecie!

Pan Chełmiński powiedział swoje i ponownie przystąpił do lekcji. Po chwili wprowadzenia na temat kwasów w ogólności oraz zapisaniu na tablicy wzorów najważniejszych ich rodzajów, poprosił dwóch najlepszych chemików klasowych: Marcina Kosę oraz Dankę Mazurek, o przejście razem z nim do pracowni chemicznej sąsiadującej z klasą. Reszcie klasy nakazał zaś siedzieć cicho na swoich miejscach i czekać na jego powrót. Bo, jak powiedział, lepiej wytłumaczy temat i zademonstruje kilka doświadczeń, mając wszystkich w klasie przed sobą niż w pracowni chemicznej, gdzie porozlążą mu się jak karaluchy i nie będzie mógł być pewien czy uważają.

Zanim pan Chełmiński przeszedł z Marcinem i Danką do pracowni, na szybko uprzątnął biurko. Zdjął też swoją torbę oraz dziennik klasowy z blatu biurka i położył na bocznym stoliku stojącym tuż obok biurka. W ten sposób zadbał, aby mieć odpowiednio dużo miejsca na przeprowadzenie doświadczeń. Po czym objął ramieniem dwóch najlepszych chemików klasowych i poprowadził ich w kierunku swojej pracowni.

— No widzisz, Dyziowaty? — odezwał się znów Karol i szturchnął kolegę pod bok, sprowadzając go momentalnie zza okna do klasy. — Zawsze ci sami. Zawsze tylko Marcin i Danko... Danko i Marcin. Ot, szczęściarze, oni zawsze mogą połączyć sobie spokojnie po klasie, a my jak te pospolite lebiody musimy tkwić bez ruchu i korzenie zapuszczać. I nikogo to nie obchodzi, że nasze cztery litery czasami aż pękają w szwach

— A daj ty mi spokój, Suchy — odburknął Damian, bo już był zły na Karola, że mu ciągle przeszkadza w snuciu marzeń. — Zamiast żołądkować się aż tak, zabierz się lepiej do solidnej nauki, to w następnym roku szkolnym też będziesz mógł sobie połączyć po klasie jak tych tam dwoje prymusów. Bo ja tam wolę nie zakuwać i po klasie nie łączyć... Wolę okno klasowe.

— Też mi... okno. Kiedyś wylecisz w końcu przez to okno i kark sobie skręcisz. I tyle będziesz miał ze swoich marzeń... Psiajucha! — warknął Karol, niezadowolony tym razem z odpowiedzi Damiana, i wstał z ławki.

— Chemiku Suchocki, ciebie też dotyczy siedzenie w ławce! — huknął pan Chełmiński od drzwi pracowni chemicznej, po czym zniknął w jej wnętrzu.

Tam nakazał Marcinowi i Dance założenie fartuchów ochronnych i przygotowanie dwóch pustych koszy. A sam zaczął wyjmować z szafki różne słoiczki z jakimiś proszkami i cieczą oraz menzurki, próbowki, pipety, i jeszcze

jakieś różnej wielkości szklane miseczki, i to wszystko po kolei wkładał im do koszy. Wreszcie zamknął szafkę na klucz, pokręcił się jeszcze chwileczkę po pracowni, i kiedy uznał że ma już wszystko co będzie mu potrzebne do przeprowadzenia doświadczeń, nakazał im zanieść to wszystko do klasy na biurko i zająć na razie swoje miejsca. Sam zaś wziął mały kocher na denaturat oraz butelkę denaturatu, i już chciał wychodzić, ale jeszcze coś sobie przypomniał, więc zawrócił. Zdjął z wieszaka swój długi fartuch ochronny i ogromne gumowe rękawice i na wszelki wypadek też zabrał z sobą. W klasie już, podszedł do tablicy i napisał wzór reakcji na powstawanie kwasu siarkowego:  $\text{SO}_2 + \text{H}_2\text{O} \rightarrow \text{H}_2\text{SO}_4$ , po czym się odwrócił i podszedł do biurka z zamiarem omówienia zapisanej na tablicy reakcji oraz przygotowania roztworu kwasu siarkowego i zademonstrowania klasie. Ciągłe mówiąc do klasy, przygotowywał wszystko do przeprowadzenia doświadczenia. Nagle zamilkł na krótką chwilę, zastanawiając się, czy o czymś nie zapomniał. W końcu się głośno zaśmiał i zawołał:

— No, moi drodzy chemicy, zanim przystąpię do przygotowania roztworu kwasu siarkowego i innych doświadczeń z siarką i kwasem siarkowym, powiem wam, jakie jest stare, poczciwe hasło chemika. Otóż brzmi ono tak: „Pamiętaj chemiku młody, zawsze wlewaj kwas do wody”... czyli nigdy nie wlewaj wody do kwasu, ponieważ woda ogrzeje się do wrzenia i rozchlapie kwas po wszystkim. A więc, chcąc przygotować roztwór kwasu siarkowego w wodzie, należy dolewać zawsze kwas do wody, gdyż jako cięższy opada zawsze na dno i miesza się z wodą. W przeciwnym razie, woda jako lżejsza, zostałaby na powierzchni, a ponieważ przy rozcieńczeniu stężonego kwasu wydziela się znaczna ilość ciepła, na granicy zetknięcia kwasu i wody ciecz mogłaby się ogrzać do wrzenia i spowodować wypryskiwanie kwasu i oparzenie skóry. I nie tylko, bo musicie wiedzieć, że kwas siarkowy niszczy też tkaniny, papier, drewno, i wiele też innych materiałów... No, zapamiętacie to?

— Ma się rozumieć, proszę pana! — zawołała klasa.

— Cieszę się — uśmiechnął się z zadowoleniem pan Chełmicki i nagle buchnął gromkim śmiechem. — No tak, pamiętałem o wszystkim, ale zapomniałem o wodzie. A bez wody ani rusz, roztworu nie będzie. Proszę, Maleńczuk, masz tu tę menzurkę i przynieś mi wody z pracowni. No, rusz się!

W klasie zaszumiało. Jasiu Maleńczuk, najmniejszy wzrostem uczeń w całej klasie, wstał z ławki i podszedł do pana od chemii i wziął z jego rąk menzurkę. Po czym z przyklejonym uśmiechem na twarzy poczłapał do pracowni. W klasie zaszumiało jeszcze głośniej.

— Cicho klasa! Co to za szumy? Tu nie las, więc uspokójcie się, proszę was! — uciszał klasę pan Chełmiński.

— To się porobiło — syknęła Danka Mazurek, mierzwiąc swoją gęstą blond grzywkę i nachylając się do siedzącego obok, w drugim rzędzie, Marcina Kosy. — Zobaczysz, Jaśko Zielone Uszko zaraz coś zmaluje.

— Eee tam, może mu się uda nie zmalować — zachichotał Marcin. — Czasami jest mniejszą fajtłapą niż zwykle.

— Masz rację Kosa, nasza sercu nam bliska łamaga klasowa, czasami jest mniejszą łamagą — zarechotał Karol Suchocki w plecy Marcina. — A swoją drogą, myślę, że Chemion rzeczywiście zbyt długo przebywał na chorobowym, bo zdążył chyba zapomnieć na co stać naszego małego Jaśka od Maleńczuków, skoro polecił mu tak ważne zadanie do wykonania.

Jasio Maleńczuk uchodził już od pierwszej klasy szkoły podstawowej za największą oferma klasową. Cała klasa mu ciągle z tego powodu dokuczała i nabijała się z niego. A Jasiu siadywał wtedy gdzieś w kąciku i beczał. Ale tak było tylko w pierwszej klasie, bo doszło do tego, że do szkoły przysłała jego matka ze skargą na wszystkich uczniów klasy I a, grząc już od progu, że wykańczają jej syneczka. Dyrektor szkoły, pan Bury, zareagował natychmiast i po uprzedniej rozmowie z wychowawczynią, zabronił klasie, pod groźbą obniżenia zachowania, jakichkolwiek drwin i wyzwisk pod adresem Jasia. A pani wychowawczyni go poparła i powiedziała, że już nigdy więcej nie chce widzieć, aby Jasio płakał. No i Jasio przestał płakać. Bo klasa, pomna niechybnej kary, przestała się z Jasia nabijać. Ale tylko przed nim samym. Pomędzy sobą, nie. To było niemożliwe, ponieważ potrzeba komentowania niezwykłych wyczynów Jasia była silniejsza od wszelakich pouczeń, przestróg, czy nawet kar. Dalej się więc z niego wszyscy nabijali i nie szczydzili wymyślnych epitetów pod jego adresem. Ale tylko za jego plecami. Jasiu nie miał prawa tego słyszeć. Nie, nie tylko ze strachu przed karą, ale przede wszystkim dlatego, że w gruncie rzeczy wszyscy Jasia polubili. Bo też Jasio miał dobre serce. Wszyscy zdążyli się o tym przekonać. Przez sześć lat wspólnej nauki w szkole podstawowej oraz jednego roku gimnazjum, Jasio między jednym wyczynem, a drugim (albo pechem, jak to sam nazywał), zawsze starał się wszystkim pomagać. Był dobrym uczniem i potrzebującym stale służył pomocą w nauce. A i największym lawirantom klasowym dawał zawsze zrzucać zadania. Był też zawsze miły i zazwyczaj uśmiechnięty. Klasa to doceniała i pozwalała sobie tylko na jeden — głośno wyrażany — epitet w stosunku do Jasia. Otóż nazywała go Jaśkiem Zielone Ucho. A wzięło się to stąd, że w pierwszej klasie, w pierwszym dniu szkoły, Jasio Maleńczuk przyszedł do klasy z zielonym uchem. Skąd to zielone ucho? Ano stąd, że ucho Jasia jakoś dziwnym trafem stało się dobitnym świadectwem renowacji jego domu rodzinnego. A w takim właśnie zielonym kolorze jego ojciec malował lamperię. Jasiowi jednak takie akurat przyzwisko nie przeszkadzało. Mało tego, uważał je wręcz za doskonały pseudonim klasowy. Został więc Jasio Maleńczuk od pierwszego dnia swoich lat szkolnych — Jaśkiem Zielone Ucho. I tak był już zawsze przez klasę nazywany, i to całkiem oficjalnie.

Nie minęło dwie minuty i Jaśko Zielone Ucho z menzurką pełną wody, wylaniał się już zza drzwi pracowni chemicznej. Szedł powolutku, noga za nogą. W ogromnym napięciu wpatrywał się w menzurkę jak sroka w kość, ze wszech miar uważając, by nie uronić ani jednej kropelki. Podchodził już prawie do biurka nauczyciela, kiedy ni stąd, ni zowąd, nie wiadomo jakim sposobem, na prostej podłodze potknął się jedną własną nogą o drugą, też całkowicie własną, i jak nie wyrznie... Z krzykiem zgrozy padł jak długi na podłogę, tuż przed biurkiem nauczyciela, wypuszczając z rąk menzurkę z wodą. Menzurka pięknym łukiem pofrunęła w powietrzu i wylądowała na biurku, roztrzaskując się o jego blat. A jej zawartość, czyli woda, chlusnęła wprost do menzurki z kwasem siarkowym, przygotowanym w międzyczasie przez pana Chełmińskiego. W klasie zawrzało. W menzurce z kwasem siarkowym też zawrzało, a jej zawartość wnet zaczęła się rozbryzgiwać na wszystkie strony.

Co się później w klasie działo, trudno opisać. Wszyscy uczniowie na widok wybrygującego kwasu siarkowego, niczym lawa przy erupcji wulkanu, zerwali się z ławek i z panicznym krzykiem na ustach, uciekli na drugi koniec klasy. Zbili się tam do kupy w jednym rogu i ze strachu trzęśli się jak liście osiki. Pan Chełmiński również krzyczał, ale zachował trzeźwość umysłu na tyle, że pierwsze co zrobił, to złapał za swój przerzucony przez oparcie krzesła fartuch ochronny i rzucił nim na leżącego na podłodze Jaśka. Szczęśliwym trafem trafił dobrze i przykrył go całego. Potem rzucił się do bryzgającej swą zawartością menzurki i rękami zasłonił jej wylot. Na szczęście ręce jego chroniły gumowe rękawiczki. Zdążył je założyć już wcześniej, jakby przeczuł zagrożenie. Po złowrogiej chwili, w klasie nastąpiła cisza. Zawartość menzurki przestała bulgotać. Uczniowie jednak ciągle byli sparaliżowani strachem i nie potrafili ruszyć się z miejsca. Jasiak też się nie ruszał. Leżał pod fartuchem wyłożony równiutko niczym naleśnik na patelni, i ani drgnął. Pan Chełmiński natomiast rozglądał się już dookoła, sprawdzając, czy kwas siarkowy nie wyrządził jakiś szkód. I pierwsze, co stwierdził, to wypalone dziury na rękawach swojej marynarki, ale tym akurat zbytnio się nie przejął. Rozglądał się dalej. I wtedy, ku jego ogromnemu przerażeniu, stwierdził, że dziennik klasowy, który zostawił otwarty na bocznym stoliku, jest cały w dziurach. Pan Chełmiński aż podskoczył z trwogi.

— Chryste Panie! — wrzasnął na całą klasę i złapał za dziennik.

— Co tu się dzieje, panie Chełmiński? — doleciało nagle od drzwi klasowych. — Co to za przeraźliwe krzyki słyszeć na lekcji chemii?

W drzwiach stała pani Podgórna, wychowawczyni klasy Ia, nazywana przez klasę pieszczołtliwie — Podgórnią. Pieszczołtliwie, gdyż pani Podgórna była bardzo lubiana przez klasę. W oczach uczniów uchodziła za nauczycielkę o najłagodniejszym podejściu do ucznia i ogromnej dozie cierpliwości dla każdego...